
STANISŁAW FUDALI

UPOJENIE POWROTEM. WSPOMNIENIA ÓWCZESNEGO MAŁOLATA

Na przedwiośniu 1944 roku nikt nie miał wątpliwości, że Niemcy tej wojny, rozpoczętej przez siebie w 1939, wygrać już nie mogą. Armia Czerwona wyparła ich z prawie całego terytorium Ukrainy, a walki toczyły się na naszych przed wojną Kresach Płd. Wschodnich; w połowie kwietnia linia frontu przebiegała od Suczawy w Mołdawii przez Kołomyję, Tarnopol i Kowel, a potem odchyłała się głęboko na wschód; Stanisławów był niedaleko od linii frontu, ale po zachodniej jej stronie. Można to było ustalić na podstawie komunikatów *Совинформбюро* (Radzieckie Biuro Informacyjne) drukowanych w lokalnych gazetach „ku pokrzepieniu serc” ludzi radzieckich, i można było im wierzyć; Czerwona Armia rzeczywiście w zimie 1943/44 ostro parła na zachód na froncie południowo-ukraińskim.

Taka sytuacja na froncie sugerowała, że lada moment Zabojski pod Tarnopolem, gdzie od wieków żyła rodzina ze strony mojego Ojca, będą wyzwolone, a za 2-3 tygodnie – Stanisławów i Tyśmienica, gdzie mieszkała rodzina ze strony Matki. Wiedząc, że w czasie pokoju listy stamtąd do nas wędrowały 2 tygodnie, wykalkulowałem sobie, że gdy napisane listy teraz wrzucę do skrzynki pocztowej za Uralem, to po 2 tygodniach front przesunie się znacznie na zachód i moje listy zostaną doręczone rodzinie, zarówno w Zabojskach jak i w Tyśmienicy. Nie wziąłem pod uwagę, że w warunkach przyfrontowych poczta musi mieć jakiś czas na zorganizowanie swoich placówek na świeżo wyzwolonym terenie, a ponadto w takich warunkach ma do spełnienia o wiele pilniejsze zadania niż doręczanie prywatnej korespondencji.

I mimo wszystko, moje listy czarną farbą olejną rozpuszczoną w nafcie pisane na początku lutego 1944 r. na kartkach wydartych z jakiejś książki rosyjskiej, bądź na kawałku gazety, nie po dwóch tygodniach, jak sobie wykalkulowałem, lecz po paru miesiącach dotarły do adresatów, mimo że adresaci nie mieszkali pod wskazanymi na kopertach adresami; z Zabojsk z powodu frontu byli przez wojskowe władze radzieckie ewakuowani pod Zbaraż przez parę miesięcy, a w Tyśmienicy już nikogo z rodziny nie było. Jakim „cudem” moje listy dotarły do naszych rodzin w 1944 r., nie wiem i już się nie dowiem, bo żaden z adresatów nie żyje, a nawet gdyby żył, niewiele miałby do powiedzenia na ten temat. Można tylko przypuszczać, że nie wszyscy radzieccy pocztowcy byli ogarnięci NKWD-owską znieczulicą (choć nie wszyscy enkawudziści mieli kamienne serce!) i zapewne nie jeden z nich nie był pozbawiony życzliwości wobec bliźnich i jak najsumienniejszy chciał zrealizować swoje pocztowe

powołanie. Chwała im za to, bo dzięki temu po ponad 3-letniej przerwie mogliśmy znowu nawiązać korespondencyjną nić, a to dla nas zdesperowanych i, wydawało się, zapomnianych miało ogromne znaczenie.

Pisane przeze mnie w lutym listy za Uralem dotarły w tarnopolskie już po 1 ½ miesiąca a po dalszych 2 tygodniach były w rękach adresatki, mojej Stryjanki, która w tym czasie nie w Zabojkach była, lecz w zgruzowanym Tarnopolu. List ten musiał wywołać niesamowite wrażenie, nie tylko swoją treścią, ale i formą; pisany był na gazecie czarną farbą i złożony w trójkąt, bo nie tylko papieru do pisania nie było, ale i kopert też¹. Już 1 kwietnia Stryjanka odpisała, podając kto z rodziny umarł, kto żyje, kto zginął, kogo aresztowano itp. Po 3 tygodniach wiedzieliśmy, co się z częścią rodziny na Kresach działo, a najważniejsze – nawiązany został kontakt, którego nam tak bardzo brakowało.

Do Dziadka z Gaju w Tyśmienicy list mój dotarł jeszcze później, bo Gaj był spalony, a Dziadkowie z niego przed bandą banderowców ledwie z życiem uciekli, zatrzymując się u rodziny w Drohobyczu. Odpisał Dziadek 20 listopada 1944 (otrzymaliśmy 15.XII.44):

Wiadomość o życiu Waszym podana z dnia 8/4.44 napisana na druku, którą dopiero dnia 15/XI.44 od Malszygroszów² otrzymaliśmy, sprawiła nam wielką radość. Z listu tego powzięliśmy, że jesteście na tym samym miejscu i że [...] macie sąsiada Głodkowskiego, bardzo dokuczającego człowieka; tu zaznaczam, że jego brat i tu nie jest lepszy. Z naszej strony donosimy, że ...

i tu następuje rejestr wydarzeń i zmian, jakie nastąpiły w życiu i otoczeniu Dziadka. A w zakończeniu przestroga, grubo mijająca się z realiami: „Z podróżą powrotną wybieraj czas najlepszy, by nie cierpieć wielkiego zimna”, tak, jakby ktoś przed nami stawiał możliwość powrotu i dawał wybór pory wyjazdu. W następnym liście, z 3.II.1945 r., oprócz powtórzenia „nowin” z poprzedniego, Dziadek napisał: „Tu mówią, że wy wszyscy ze Sybiru powrócicie na wiosnę do domu, do nowej Polski, na zachód”, ale tego nie traktowaliśmy poważnie, bo przed wojną Sowieci z Niemcami też wszyscy mówili, że na wiosnę, że na jesieni ..., a ta właściwa wiosna dotychczas nie nadeszła. W jednym z listów następnych Dziadek napisał o dwóch liniach Curzona, która miała być wschodnią granicą Polski: według jednych była to linia Bug-San, a według innych Bug-Złota Lipa, i cieszył się perspektywą tej drugiej, bo pozostawiała Stanisławów i Gaj z Tyśmienicą po stronie polskiej. W kolejnym liście o liniach Curzona już nie wspominał, ale doniósł, że zarejestrował się na wyjazd do nowej Polski. W Zabojkach też długo się wahano, czy rejestrować się na wyjazd, ale w liście z 25 marca 1945 donieśli, że już się zarejestrowali. Być

¹ Górną krawędź zapisanej z jednej strony kartki papieru (list) pokrywało się z krawędzią boczną i przygniatało palcem, by otrzymać wyraźną linię zgięcia (tak jak przy robieniu „samolotu” z papieru), a następnie linię zgięcia łamało na pół i przygniatało palcem nową linię zgięcia; powstawał trójkąt papierowy z jakimś naddatkiem, który należało włożyć do wnętrza trójkąta. Pozostawało na tym trójkącie napisać adres, nakleić znaczek i wrzucić do skrzynki pocztowej.

² Malszygroszowie – właściciele młynów w Tyśmienicy, zaprzyjaźnieni z Dziadkiem. Mieszkali w mieście i nie musieli uciekać przed bandami. Prawdopodobnie mój list przejęli od listonosza, i przestali Dziadkowi, gdy go odszukali w Drohobyczu; stąd tak długo to trwało.

może na skrócenie tych wahań wpłynęło zaognienie stosunków etnicznych, które do tego czasu na tarnopolszczyźnie były w miarę znośne; w tymże liście czytamy bowiem:

... nowego u nas dużo, napadu mordu, dzięki Bogu nie było. Jednego z naszych chłopców z 27 roku ukradli żywego, który był dość cichy i dobry, pewnie gdzieś w lesie zamęczyli, bo już 2 tygodnie nie ma go; to się zdarza w każdej wiosce. Czasem znajdą gdzieś w polu takiego męczennika, to ręce nogi połamane, oczy wykłute itd. 4 dni temu w Draganówce, trzecia wioska od nas, zabili 6 osób; i tak ciągle już blisko 2 lata polskie ofiary.

My za Uralem o tych antypolskich czystkach etnicznych na Kresach nie mieliśmy najmniejszego pojęcia; tyle co z listów, ale to było wprost nie do uwierzenia – nie mieściło się w głowie. Wszak od wieków na tych terenach Rusini i Polacy żyli w tych samych wioskach, miedza w miedzę jako zgodni sąsiedzi, pomagający sobie nawzajem, żeniący się ze sobą nie zważając na nację ani na wyznanie; cóż więc się stało? I nie mieliśmy żadnych rozterek, jak nasi krewni, co do wyjazdu do Polski; nikt o takie sprawy nas nie pytał. Po wyjeździe rodzin „kościuszkowców” na temat naszego powrotu bądź wyjazdu było cicho-sza.

Koniec wojny w maju 1945 roku przyjęliśmy, tam za Uralem, bez nadzwyczajnego entuzjazmu. Cieszyliśmy się, oczywiście, z zakończenia wojennych zmaganiań, bo mieliśmy przekonanie, tak jak ludzie miejscowi, że władze teraz będą mniej skrupulatnie niż dotychczas wyczyszczać kołchozowe magazyny w myśl hasła: *Все для фронта!*, bo ten front przestał istnieć, a tym samym więcej zostanie do podziału za pracę, nie jak poprzednio 200 g pośladu za trudodzień³. Byliśmy też radzi z pokonania hitlerowskich Niemiec (wtedy jeszcze nie odróżnialiśmy hitlerowskich od nie hitlerowskich – bo całe Niemcy uważaliśmy za wraży naród), które wywołały w 1939 r. całą tę wojenną awanturę, a my byliśmy jej ofiarami. Byliśmy zgodni ze wszystkimi narodami radzieckimi, że Niemcom taki finał słusznie się należał. Natomiast innych powodów do radości z zakończenia wojny nie mieliśmy. Przecież ta wojna, która w 1939 zaczęła się jako NASZA obronna, skończyła się jako nie nasza! O wolność i suwerenność naszego państwa przecież nikt nie zabiegał – ani Wielka Brytania, ani ZSRR, ani USA. Wszystkie one w tej wojnie miały na oku tylko swój interes, co okazało zaraz po wojnie, podczas konferencji w Poczdamie. Nasze polskie formacje wojskowe walczyły z Niemcami na różnych frontach, ale jako przyczepki do armii angielskiej bądź do Czerwonej. I tylko w polskiej historiografii wymieniane jest męstwo naszych rodaków pod Narvikiem, Tobrukiem, Monte Cassino, Bredą i Arnhem, czy pod Lenino, Siekierkami, Cedynią i na Wale Pomorskim; w historiografiach innych narodów są o tym zaledwie wzmianki, bądź zupełne przemilczenie.

Zakończenia wojny z powrotem do swoich raczej nie wiązaliśmy; zwłaszcza dorastające pokolenie zesłańców, bo nasze matki nie odczyły się wierzyć w cuda, i ciągle marzyły o powrocie. Ale w lecie 1945 nikt nawet nie

³ Trudodzień – w polskich rolniczych Spółdzielniach Produkcyjnych nazywano dniówką obrachunkową, a poślad – to pozostałość po przemłynkowaniu zboża (oczyszczeniu na żm. młynku), będąca w zasadzie (oprócz grubszego kurzu) nasionami chwastów; w płn. Kazachstanie były to nasiona dzikiego prosa („myszej”) i dzikiego owsa („owsjuk”).

rozszewlał pogłosek o tym. W jesieni 1944 roku przetransportowano na radziecką Ukrainę (tzn. leżącą po wschodniej stronie Zbrucza) rodziny tych, co poszli do armii kościuszkowskiej. A tych, co nikogo tam nie mieli, zostawiono w stepach i tajgach. Nawet w „Wolnej Polsce”, organie Związku Patriotów Polskich, o nas nie wspomiano; jak gdybyśmy w ogóle nie istnieli. Natomiast pisano w niej wiele o przemianach gospodarczych i społecznych w powojennej Polsce, nie gloryfikując ich jednak w nadmierny sposób. Z tego, co tam pisano, nabierało się przekonania, że powojenna Polska będzie jedną z republik radzieckich; siedemnastą. Konferencja w Poczdamie, potwierdzająca ustalenia jałtańskie, pozbawiła nas złudzeń, że powojenna Polska terytorialnie będzie taka sama, lub prawie taka sama, jak przed wojną. O naszych Kresach Wschodnich w Poczdamie nie pisał nikt – ani Churchill, ani Truman a Stalin uważał je za *исконную* zachodnią rubież Związku Radzieckiego; Polska okazała się piłą wykopaną z nad Zbrucza aż do Odry. Uświadomiliśmy sobie wreszcie, że w tej sytuacji nie mieliśmy już dokąd wracać, mogliśmy tylko ewentualnie wyjechać stąd, po otrzymaniu pozwolenia, bo nikomu z nas nie uśmiechało się pozostanie tu, za Uralem. Ale w lecie i w jesieni 1945 o jakimkolwiek wyjeździe stąd nie było żadnej mowy. Mieliśmy przekonanie, że komunistyczne władze polskie odżegnały się od nas na zawsze; miały bowiem ważniejsze dla siebie zadania: utrwalanie władzy ludowej, czyli swojej. Korespondencja z rodziną po 4 latach przerwy też nie miała wydźwięku optymistycznego – wszyscy nie kryli zdziwienia, że po niby „wygranej” wojnie, zamiast cieszyć się zwycięstwem, musieli pakować co cenniejsze części swojego mienia, dorobku kilkunastu pokoleń swoich przodków, i jechać w nieznaną, na Zachód, a tu na Kresach pozostawić obcym ogromną część dorobku przodków, dom i pola, wraz z ukochaniem ziemi rodzinnej. Czuli się podobnie jak my w roku 1940 podczas masowych wywózek, tyle że bez nocnego łomotania do drzwi i bez konwojujących enkawudystów, a także bez zamkniętych na głucho wagonów. Wiedzieli jednak nasi ekspatriowani bliscy (dla ironii z ich bezsilności nazywani **repatriantami**, tak jakoby kiedyś opuścili ziemię ojczystą i teraz do niej wracali), dokąd jadą i dlaczego. Nas ekspatriowano 5 lat temu i nadal nie wiedzieliśmy, czy **repatriacja** nas obejmie.

Pod koniec 1945 roku jednak coś zaczęło się ruszać wokół naszej sprawy, ale mało kto wiązał z tym poważniejsze nadzieje; tyle razy już bowiem z powodu ulegania nierealnej wizji powrotu do swoich, podsycanej własnymi pragnieniami, budziliśmy się „z ręką w nocniku”, czuli wystrychnięci na dudka, i nie chcieli tego powtarzać – byliśmy zmęczeni i zrezygnowani. Nie zrobiła więc wrażenia wiadomość od p. Marii Frączakowej z Presnogorkowki, która 30 grudnia napisała do naszej Mamy:

[...] już nam i serce wystygło i nadzieja powrotu do Swoich zaczęła wygasać – ale znów 21/XII było radio z Moskwy i przemawiał nasz Ambasador – Pan Raabe. Pozdrowił wszystkich Polaków żyjących na ziemiach rosyjskich – słowa jego były ciepłe, serdeczne i pełne obietnic, a najważniejsze to, że z dniem 1 stycznia 1946 komisja mieszana przystąpi do pracy i reewakuacja zacznie się; wagony już wyjechały – to powiedział nasz ambasador. No ja myślę, że my tu pierwsze nie będziemy – w każdym razie zaczęło się, coś się robi. Można znowu mieć nadzieję.

Okazało się, że tym razem nie była to czcza gadanina (aczkolwiek z tymi wagonami, co już wyjechały, była gruba przesada albo nieporozumienie), bo na przedwiośniu 1946 r., a właściwie jeszcze w zimie, poniosła się przez stopy i tajgi niewiarygodna wieść – Wracamy!, niemal przez nikogo już niespodziewana, bo myśl o powrocie odłożyliśmy na półkę nieziszczalnych snów. Nie wiem kiedy, w jakiej formie i w jaki sposób dotarła ona do nas – dzień w dzień, bez względu na mróz i śnieżne zamieci, zajęty wożeniem siana ze stepu do kołchozowych stajen nie reagowałem na wieści odgrzewające nieziszczalne dotychczas mrzonki – i nie wiedziałem, że nasza Matka podzieliła się nią (korespondencyjnie) ze znajomymi w okolicznych wioskach i posesjach. Już 19 stycznia pani Frączakowa pisała:

Za liścik dziękuję – i resztę wiadomości też. Chwała Bogu – że jest już dobrze! U nas tu w Presnogorkowce – nowości – przez radio przemawiał dr Wolpe sam (minister) od repatriacji – a więc od 10/I do 26/I 1946 r. wyjeżdżają już repatrianci do Polski – z obłści Kijowska – Połtawska – Charkowska – Mikołajska to jest pierwszy transport – zabiera 50.000 osób, następny transport to dzieci sieroty z dietdomów ze służbą – 3 transport to my – tylko nie wiadomo, w którym miesiącu nas zdążą wziąć – my tu robimy domysły, a nawet wróżymy, no nic pewnego z tego nie wychodzi, czekamy. W każdym razie już się zaczęło – nadzieja jest. [...],

a 2 dni później p. Zofia Zubowa z Makariewki⁴ odpisała:

Serdecznie dziękuję za wiadomość – żeby to było tylko wszystko prawdą – co oni nam obiecują – i aby Bóg się zlitował – dopomógł nam się stąd wydostać jak najszybciej. Miałam list od p. Zielińskiej podobnej treści jak Pani – już się zaczęły repatriacje – od 4/I do 20/I.46 – centralna Ukraina ruszyła się – to może i my się ruszymy.

Gorączka powrotu, wyjazdu z tych nie przychylnych nam stron – aczkolwiek przyrodniczo i krajobrazowo uroczych w pewnym sensie, lecz nienawistnych nam z powodu warunków zgotowanych przez władze, bo nie na safari zostaliśmy tu przywiezieni – ogarniała coraz szersze kręgi, nawet takich niedowiarków jak ja, usiłujących nie poddać się ułudzie, a temperatura wyczekiwania rosła w miarę ubywania zapasów żywności i opału. „My żyjemy b. źle” – 3 marca 1946 r. do Mamy pisała Bolka Zajączowna z leschozu „Borki” – „Kartofli dawno już nie ma. Jeżeli prędko nie pojedziemy, to nie wiem, co będzie”, a p. Frączakowa w cytowanym wyżej liście: „Ech, jak mi życie nadojadło⁵ – coraz gorzej. Już nie można doczekać daty wyjazdu”, zaś 28/I w zmienionym nastroju dodaje:

22/I 1946 mówili przez radio, że do 1/II 1946 będzie skończona opcja i komisja mieszana przystępuje do repatriacji – porządkowej. Porządek jest ustalony przez komisję mieszaną. Rzeczy będą dawane tylko najbardziej potrzebującym i rzeczy te są sowieckie i będą dawane za opłatą – produkty będą dawali, a te trzeba będzie opłacić – i w ogóle prócz wagonów – wszystko inne trzeba opłacić. Paszporty polskie dostaniemy na 10 dni przed odjazdem – miesiąc naszego odjazdu niewiadomy.

⁴ Presnogorkowski rejon, kustanajski obwód.

⁵ Czyli: obrzydło; patrz: *Słownik poprawnej polszczyzny PWN* pod red. W. Doroszewskiego, PWN 1980.

To samo później mogliśmy wyczytać w Instrukcji ZPP⁶, gdy plotki i podobne życzenia zaczęły przybierać realny kształt.

Dwa tygodnie później, 16.II.46, też p. Frączakowa razem z p. Litońską, która w tym czasie była rejonowym mężem zaufania, donosiła na kartce pocztowej:

Wedle instrukcji przysłanych nam 15/II 46 zawiadamiamy: ze sobą wolno wziąć przedmioty, a to 1000 rb. na osobę, 1 pierścionek złoty, 1 zegarek, 1 okulary albo cwikier, srebrne przedmioty nie cięższe 400 gr., 1 futro, 1 czapka futrzana i 1 kg kawioru czarnego,

co wywoływało w nas uśmieszek zakłopotania, bo takich przedmiotów nie mieliśmy od dawna, przejedliśmy, a pozwolenie na wywóz 1 kg znanego tylko z nazwy kawioru, gdy człowiek oblizywał się na myśl o paru kartoflach, graniczyło z sadyzmem. I dalej na tej kartce:

Nie wolno wziąć: broń, materiały wybuchowe, lornety polowe, złoto, platynę, metale grupy platynowej, anulowane papiery wartościowe, przedmioty muzealnej wartości i przedmioty sztuki, futra, fortepiany, dywany ręcznej roboty.

Był to dalszy ciąg Instrukcji⁷, w naszych warunkach groteskowo odstających od realiów. I na koniec:

Repatrianci ponoszą koszty wyżywienia sami. Żywności dostarczą odpowiednio organizacje Radzieckie po cenach państwowych. Jeśli ktoś nie oddał (do ruskich paszportów) dokumentów polskich, musi mieć 2 fotografie na dorosłą osobę.

Nawet takie wiadomości w tych przedwiosennych dniach 1946 roku nie wywoływały w nas euforii, przyjmowaliśmy je raczej obojętnie, jakby nas nie dotyczyły. Byliśmy zrezygnowani, czuliśmy się opuszczeni i zapomniani, przedstawialiśmy wierzyć, że kiedykolwiek pojedziemy do swoich, do Polski. Prawda, gdzieś w głębi duszy, zwłaszcza naszych matek, tkwiła jeszcze jakaś iskierka nadziei, ale zbyt długo już trwała ta huśtawka nieziszczonych marzeń i zawodów, aby z tej iskiereki rozgorzał prawdziwy płomień radości.

I w tej przygnębiająco-wyczekującej atmosferze przychodzi kartka od p. Litońskiej, pisana 6.III.46, krótka i rzeczowa:

Zbliża się nasz wyjazd. Chciałabym się dowiedzieć z urzędu, czy Panie są szczepione szczepionką tyfusową i czy przyjęły ospę? Do przekroczenia granicy są potrzebne dokumenty ewakuacyjne, na których musi być fotografia. O tę fotografię proszę się wystarać koniecznie i bezzwłocznie. Kustanaj pisał o tym onegdaj, Borowoje (?) dzwoniło. Fotograf pracuje w Promarteli, fotografia kosztuje 35 rubli, musi ją mieć każdy, kto skończył 16 lat.

Ta wiadomość nie miała charakteru samopocieszenia, była konkretna i trzeba było ją potraktować serio. Zwłaszcza gdy po tygodniu p. Litońska pytała, czy do „naszego” kołchozu przyszło polecenie z rejonu o przygotowaniu podwoju dla odwiezienia nas do Kustanaja, 305 km. Sprawdziłem w *kontorze*⁸:

⁶ Por. mój artykuł: *Gasnące mrzonki i wschodzące mgliste nadzieje*, „Zestaniec”, nr 40: 2009, s. 63-71.

⁷ Chodzi tu o tę samą instrukcję, co w przypisie 6.

⁸ *Контора* – biuro kołchozowe.

polecenie jest, a dzień wyjazdu jeszcze nieustalony. To już na prawdę kroilo się na wyjazd stąd; niemożliwe było w to nie uwierzyć.

Gdy tylko śnieg na stepie znikł, nie czekając na przeschnięcie ziemi, kazano nam szykować się do wyjazdu, choć już od tygodni byliśmy do niego przygotowani i niecierpliwie go wyczekiwali. Wyjechaliśmy w niedzielę, 21 kwietnia 1946 r., dzień Wielkanocy zarówno wtedy rzymsko-katolickiej i prawosławnej, ale nikomu z nas na myśl nie przyszło sarkać, że w dzień świąteczny musieliśmy rozpoczynać podróż. Dla nas wówczas ważniejsze było nasze z zesłania wracanie (może to bluźnierstwo, wybac mi Boże!) niż Zmartwychwstanie Pańskie. Droga Krzyżową szliśmy przez sześć lat, niosąc krzyż nędzy, głodu i upokorzenia, upadaliśmy na duchu, wąpiliśmy w opiekę boską i łaskawość Najświętszej Dziewicy, a teraz w dniu tryumfu Syna Bożego dostąpiliśmy łaski bożej: Wracamy do swoich, do bliskich, do Ojczyzny!

Przez tydzień szliśmy za furmanką przez grząski step i poroztopowe rozlewiska, w których wóz z naszym „dobytkiem” grzął po osie i trzeba było, by nie opóźniać powrotu, przenosić rzeczy na drugi brzeg rozlewiska, aby konie mogły odciążony wóz wyrwać z grzęzawiska. Po tygodniu osiągnęliśmy wieś Borowoje, centrum rejonu, w podeschniętym stepie, skąd ciężarówkami zawieziono nas do punktu zbornego w Kustanaju. Po tygodniowym koczowaniu w jakiejś szkole rzemieślniczej nakazano nam załadować się do bydłowych wagonów. Uczyniliśmy to bez najmniejszego szemrania. Gdy pociąg ruszył, poczuliśmy się jak wniebowzięci, choć do Polski było jeszcze wiele gór i rzek po drodze.

*

W tych wiosennych dniach 1946 r. nikt z nas, zesłańców, nie zastanawiał się nad tym, komu zawdzięczał powrót do Ojczyzny. Matki nasze mówiły, że to Matka Boska wysłuchała ich prośb i dokonała cudu – cudu naszego powrotu, ale same nie bardzo w to wierzyły. Wszyscy zawsze traktowaliśmy zesłanie jako ewidentną niegodziwość i powrót uważaliśmy za naturalne jej naprawienie. Władza radziecka nas wywiozła, więc władza radziecka powinna nas przywieźć z powrotem. I wydawało się, że tak jest – władza radziecka dawała transport do punktów zbornych i dawała transport kolejowy, tak jakby chciała uspokoić dręczące ją sumienie. Tymczasem to wszystko się działo na podstawie porozumienia między rządami polskim i radzieckim – bez żadnego cudu; inspiratorem tego porozumienia był Związek Polskich Patriotów. Trudno sobie wyobrazić po ponad pół wieku, jak wiele wysiłku i energii musiał włożyć ZPP w to, aby z rozmaitych zakątków ZSRR, nieraz „deskami zabitych” od świata, wydobyć zesłańców i odesłać do Ojczyzny. A była to ogromna praca!

Część tej pracy wykonali funkcjonariusze NKWD z polecenia swojego rządu – zebrać od zesłańców dokumenty, na podstawie których później wydano nam zaświadczenia o opcji i legalnego opuszczenia terytorium ZSRR. Dokumenty te miały świadczyć o posiadaniu obywatelstwa polskiego przed 1 września 1939 r., a były one co najmniej śmieszne – wystarczył np. rachunek za prąd wystawiony przed wojną, i już był wystarczającym potwierdzeniem polskiego obywatelstwa. Transportu dostarczyły kolchozy bądź inne odpowiednie zakłady państwowe, natomiast rejonowe oddziały ZPP musiały zatroszczyć się o pomieszczenia dla zesłańców podążających do punktów zbornych, gdzie formowano transport kolejowy, a także o gorący posiłek – przynajmniej raz dziennie.

Najbardziej potrzebującym rozdawano dary, które nazywaliśmy amerykańskimi, chociaż pochodziły z różnych stron świata, i zadbano o higienę zesłańców – *баня и вошебойка* – czyli o łaźnię i dezynfekcję; gdyby w takim zbiorowisku ludzkim pojawił się tyfus plamisty, to przy ówczesnym naszym zawaszaniu byłyby nikłe szanse dojechania do Polski. Rzecz jasna, gorące posiłki szykowały miejscowe stołówki, bania i wošebojka też należały do miejscowej infrastruktury, ale by to wszystko zadziało, trzeba było gdzieś pójść, załatwić, zapłacić, zorganizować, dogłębnie – wszystko to, lub prawie wszystko, spoczęło na barkach zaangażowanych aktywistów ZPP. I nie jestem pewny, czy w ferworze upojenia powrotem zdążyliśmy im za to podziękować, bo choć wtedy uważaliśmy, że ten powrót słusznie nam się należy, to ludziom, którzy to ułatwili, należało się podziękowanie.

Po trzech miesiącach od zakończenia repatriacji Sybiraków Związek Polskich Patriotów rozwiązał się; i odszedł w niepamięć. Rzadko go wspominało w PRL-u i jeszcze rządzie w III RP, bo to były „komuchy”. A przecież te polskie „komuchy” naprawiły zło, jakie nam Sybirakom wyrządziły komuchy radzieckie. I chwała aktywistom ZPP za to, a że odeszli w nicość bez rozgłosu, nie czekając na order i oklaski – tym większa im chwała!